ROZMAITOŚCI.

Dnia 11. Marca Nr 10. Roku 1843.

WIELKI TYDZIEŃ.

DOLINA CARIPE.

Noc była jasna, spokojna. Bezbrzeżne stepy Orinoka łamiąc się w przeguby fal piaszczystych, roztoczyły się po nieścignionym dla oka obszarze, a nad stepem zaiskrzyło się południowe niebo Ameryki. Na dalekim widnokręgu wypłynęła konstelacyja okrętu, pięknego centaura; na południowém niebie spływał z migotem obłoków magelańskich blask krzyża*). W srébrnéj poświacie księżyca śniła ziemia, marzyło niebo. Wierzchołki *Cocollar* i *Silly*, u któréj stóp rozłożyło się miasto *Caracas*, stolica Rzeczypospolitéj *Venezuela*, patrzyły posępnie na okolicę, jak wielkie przed-wiekowe mogilniki, a okiem nieobjęta płaszczyzna (sawanna), łyskała żywem srebrem jak śliste zwierciadło morza. — Wieczna wiosna rozkwiecała uroczą dolinę *Caripe*, ocienioną rosło-bujnym lasem. Uroczysta cisza panowała do koła, tylko kiedy niekiedy dzwónek trzody obudził uśpione echo, lub słodki ton pastuszego fletu zaśpiéwał przeciągło w powietrzu. Podbijająca Europa posiadła tę dolinę i zatknęła na niéj krzyż Zbawiciela, przed którym legły zrębem ciemne bory, nietknięte od wieków ręką człowieka. Do rozkosznéj doliny, w pośrodku któréj stoi krzyż z brazylijskiego drzewa, prowadzi ulica z drzew *Perseu;* na odłamie skały, umajonéj bujną roślinnością, wznosi się klasztor aragońskich kapucynów, a w koło ocienia smukła, majestatyczna palma, chaty Indyjanów, zwanych: *Chamays.* Ani czarujące doliny *Derby* w Anglii, ani urocze błonia nadreńskie; nie wyrównają boskiéj piękności doliny *Caripe*, bo nad nią roztacza się południowe niebo Ameryki.—Opodal chat Indyjanów ciągnął się parów zarośnięty drzewem melonowém i drzewem *pisangu;* ze skał ubranych bujnym uplotem roślin, tryskały chłodzące ruczaje, w których się przeglądała piękna *Micania.**)

*) Nazwa gwiazdo-zbioru.

Na pagórkowatéj wysoczyźnie kwiecistéj błoni, przez którą szemrzący strumyk wił srébrną nitkę, widziałeś piękną jak najadę dziewicę, na kobiercu z kwiatów spoczywającą. W myślach zatopiona, oparła czoło na ręce, skłaniając anielskie oblicze ku świegotnemu strumykowi. Jedwabna wstęga opasywała dokoła bujne pierścienie włosów, które na pełną pierś w lubym spływały nieładzie. Obnażone, pieściwe ramię i śnieżnéj białości szyję, zdobiły korale, a lekka, niemal przeźroczysta, w najjaskrawsze kolory bijąca szata, wyjawiała przecudną postać. Nagie nóżki uwięziła w lekkie sandały, a misternie skrzyżowane oplotki, nadawały gładko utoczonéj stopie, lubéj piękności. Śnieżném ramieniem objęła szyję młodéj *lamy***), która się tuliła do boku swojéj pięknéj pastuszki. Na koralowych ustach dziewczyny igrał uśmiech anielskiéj niewinności, a w jéj oku drżała łza miłości i tęsknoty. Błogi pokój niebianów, o jakim się nam śmiertelnikom ledwie zamarzy, mieszkał na jéj czole, malował się w obliczu; sama noc uszanowaniem dla naszéj samotnicy przejęta, cichém skrzydłem muskała dolinę *Caripe*, by nie spłoszyć lubych snów młodéj marzycielki.

W tém, w jednéj chwili, z pobliża gaju, ozwał się słodki głos fletu i obudził drzymiące liście na drzewach, które jakby dra-

*) Rodzaj rośliny.

**) Owieczka.

śnięte pocałunkiem zefira, lekkim zawtórzyły szmerem. Z dziewiczéj piersi, która szybszém uderzyła tętnem, wykradło się westchnienie obawy; jakoż podsłuchując, przechylyła główkę ku téj stronie, z kąd płynęły pieściwe tony fletu. Ale i to małe stworzenie, ta mała *lama,* zaniechała na dźwięk fletu pieszczot z swoją panią, zaczęła strzydz uszkiem, i porwawszy się od boku swojéj karmicielki, z radośnym pośpiechem pobieżała w poblizkie krzaki. Zdawało sie, że ta mała swawolnica uszkiem schwytała szepty bijącego serca swojéj pani i podzielała jéj uczucia. Dziewica podniosła się z kwiecistego posłania, alabastrową rączką odgarnęła z czoła strumienie włosów i trwożném powodziła wzrokiem po trzodzie z obawy, ażali komu nie zdradziła najskrytszych tajników swojego serca. W téjże chwili objęła męzka dłoń jéj wiotką kibić i dały się słyszeć cicho te słowa: »Gabryjelo, moja najmilsza Gabryjelo!«

»Tyżeśto Edwardzie?« słodkim głosem zapytała dziewica, podnosząc duże oko ku mężczyźnie, którego piękna, pełna wyrazu twarz ku niéj się schyliła.

»Cóż ci jest mój aniele?« rzekł Edward, cisnąc dłoń Gabryjeli do swojéj piersi. »Ty drzysz w mojém objęciu? Czyliż się tego obawiasz, że moja pierś tak blizko twojéj?«

»Jabym się obawiać miała?« odrzekła dziewica pieszczonym głosem miłości. »Ach, mój Edwardzie! przy boku dobrego człowieka, nié ma żadnego niebezpieczeństwa. Wiész, iż drzą struny życia, gdy są trącone oddechem radości, że drzy kwiatek, gdy rozpieszczony promieniem bóstwa, z obsłonek się wylania. O mój Edwardzie, z jakiémże utesknieniem oczekiwałam téj błogiéj chwili, abym się napoiła twoim oddechem, naradowała twojémi słowy, które tak słodko lgną do mojéj duszy! Usiądź tu ze mną na murawie. Twoje słowa są słodsze jak miód, a oczy twoje tak piękne, jak gwiazdy na niebie, bo one są światłem moich oczu, światłem mojego życia!«

»O Gabryjelo, aniele życia mego!« zawołał Edward z uniesieniem, siadając przy boku kochanki. »Słodycz twoich słów upaja mnie rajską rozkoszą, to gwieździste sklepienie gaśnie przed blaskiem twoich oczu!«

Gabryjela obiegłszy mdlejącym wzrokiem rozkoszy przestrzeń doliny, zawisła okiem na gwiazdach, a spłonąwszy zachwyceniem, jawiła uczucia, jakie tylko w piersi niewinnego dziecięcia natury zamieszkać mogą: »O jakże pięknym ten świat!« zawołała uderzając z radości w dłonie. »Te kwiatki, strumyki, ten cichy szmer palmy, to wszystko dzwoni radość w nasze serca! Że tam nad tém niebieskiém sklepieniem obaczymy się znowu, to nam powiadają te miło połyskujące gwiazdy. I możeż być większa jeszcze rozkosz? Ale niestety, nie dla mnie już rozwiészałaby teraz natura swoje wdzięki, gdybyś ty mój aniele nie był zleciał ku méj zbawie!" Czy pamiętasz ową sawannę *Rio-Tigre?* Zamieć stepowa wichrząca falami piasku, byłaby się stała grobem moim! Do *San-Felipo* zaniosłam na targ owoce z sadu mojego ojca. Wracając do zagrody, znużona słonecznym skwarem, upadłam na rozpaloną sawannę. Oddech wysechł mi w piersiach, leżałam bez zmysłów, rozdęty wełn piasku zasuwał mi na pół zgasłą źrenicę. Przez wiele chwil byłam snem śmiertelnym wzięta, gdy w tém dźwięk twego głosu wyrywa mnie z objęcia śmierci, i uczuwam zarazem, że orzeźwiający strumień wody skrapia twarz moję. Od téjto chwili, gdym znowu powróciła do życia, wydał mi się świat daleko piękniejszym, bom ujrzała ciebie, bo nowe, uwieńczone kwiatami miłości, wzejszło w mém sercu życie!«

»O, Gabryjelo!« odrzekł Edward. »Ty nie wiész, ile ja tobie wzajem winien jestem! Tyś zemdlona skwarem słonecznym walczyła ze śmiercią, a ja z rozpaczą, która się sępem do mojego łona przyssała; dla mnie śród nieustannych kolei złudzeń świata, wyschło już było źródło nadziei, nosiłem piekło w mojéj piersi! Twój przygasający wzrok żegnał przynajmniéj krainę cichą, ozłoconą wszelkiémi powabami świata, lecz przed moim wzrokiem Kaima, roztaczało się głuche, ponure pustkowie, przedemną i za mną, nie było żadnéj oazy! Ale ciebie, ciebie mój aniele ujrzałem, i byłem już pojednan ze światem! Moja niebianko! Jam tobie stokroć więcéj dłużen. Jam cię tylko ze snu śmierci obudził, a tyś mi niebo wróciła! A przecież miłość twoja kirem smutku

dla mnie osnuta! Nienawiść chce stanąć między dwojgiem serc kochanków. Truchleję na tę myśl samę, że moja Gabryjela będzie musiała kiedyś opuścić swojego Edwarda!«

»Nigdy, przenigdy! Kochanku mej duszy!« zawołała Gabryjela urywanym głosem, objąwszy śnieżnémi ramiony szyję kochanka.

»Czyliż nie znasz zaciekłéj twego ojca nienawiści, którą pała przeciw Europejczykom?« mówił daléj Edward. »Palma-Amaru, potomek Inkasów, wolałby raczéj w twoję pierś zabójczém uderzyć żelazem, niżeli swoje ukochane dziécię połączyć z nieprzyjacielem swojego kraju, z wrogiem wiary ojców swoich! Czyli nie widziałaś szyderczego urągania się na ustach jego, kiedym powrócił mu uratowaną córkę? Jegoto nieubłagana nienawiść zamknęła przedemną drzwi waszéj chaty, i tylko w cieniu opiekuńczéj nocy, wolno mi oglądać gwiazdę mego życia!«

Ciężkie westchnienie wydarło się z piersi Gabryjeli, i w smutku pogrążona zwiesiła piękną główkę ku ziemi.

»O szlachetna, niewinna duszo!« wiódł daléj Edward tuląc zesmutniałe dziéwczę do swojéj piersi. »Ty nie znasz jeszcze, jak jest okropną nienawiść i zemsta ludzi! Wszystkie kwiaty życia wyrywa srogą ręką i znosi je na stos ofiarny, aby niémi zażédz płomień wcześć swojego bożyszcza, którém jest potworne widziadło zaciekłego fanatyzmu! Hiszpanie rozléwali krew Chamajsów, Palma-Amaru, wytoczy w odwet krew moję, aby nią zbryzgał krzyż chrześcijańskiéj wiary, zatknięty ręką Hiszpanów.«

»Edwardzie! Nie mów témi słowy o moim ojcu«, ozwała się dziéwczyna z szlachetną godnością. »Jam także chrześcijanką, moja matka była rodaczką twoją i nauczyła mię wiary ojców waszych. Twoja wiara jest moją. Nierozjętym węzłem przykułeś mnie do siebie aniele méj duszy, jabym bez światła oczu twoich zwiędła jak ów kwiat z ziemi wyrwany. Tyś mnie obudził ze snu śmierci, ale nie budź mnie ze snu miłości!«

To mówiąc, rzuciła się w objęcie kochanka, a jeniusz miłości osłonił zapłonione lice wstydliwego dziéwczęcia. Wtém, czarna ręka odgięła ostrożnie gałęzie poblizkiego krzaka, a dwoje iskrzących oczu błysnęło z zacienia i utopiło sztylety w grupę kochanków. Jak źwiérz drapieżny, gdy wypatrzy zdobycz swoję, stał Murzyn nieruchomo, zaparł oddech w piersi, i toczył okiem tygrysa, co krwi łaknie. — Po chwili znikło widziadło, i ani szmerem odgiętych gałęzi, nie zostawiło po sobie śladu.

»Edwardzie! Patrz, krzyż południa*) zniża się już ku widno-kręgowi. Musimy się rozstać, gdyż o téj porze oczekuje mnie ojciec z moją trzodą.«

To rzekłszy, po danym pieszczot upominku, opuściła Gabryjela swojego kochanka.

Przy wchodzie do lasu, który piękne rodził kasztany, stała chata Indyjanina, okazalsza od innych w téjże dolinie. Ogrodzenie téj chaty było wyłożone najbujniejszą darnią, drzewa oliwne i figowe uginały się pod słodkim ciężarem owoców. Powietrze było napełnione wonią lilii. Po przed tę chatę wiodła krzewem wawrzynu ocieniona droga do portowego miasta *Cumana*. — W krajach podzwrotnikowych nawet człowiek dziki czuje piękność natury, a piękne noce Ameryki, wywabiają spokojnego niżowca**) z samotnéj chaty, która mu daje schronienie przed dziennym skwarem słońca. Oddając się radośnym uczuciom, oddycha rozkosznie wiośnianém powietrzem, cuda, któremi do niego przemawia noc gwieździsta, budzą jego ducha do śmiałego polotu, a uczucie śmiałości i niepodległości, które całą zamiłował duszą, napełnia serce Amerykanina szlachetną dumą. Przed wnijściem do owéj chaty, stał Indyjanin silnéj, atletycznéj budowy. Groźne jego spojrzenia gubiły się na wybrzeżu *Cumana* i na górze *Silla* przy mieście *Caracas*. Na twarzy tego człowieka smutnéj jak gradowa chmura, była wypisana czytelnie nienawiść i pogarda ludzi.

»Ten wielki duch«, rzekł nieznajomy po chwili, »który tą ognistą kulą nad nami toczy, i nocnym jazdom gwiazd towarzyszy, pomści się krwi Chamajsów, przelanéj przez białych szatanów, a na grobach najezdników zakwitnie znowu rozkoszna palma panowania Inkasów. Cień nieszczęśliwego *Tupuc-Amaru* ukazał się mojemu oku, kiedym

*) Nazwisko konstelacyi.
**) Mieszkańca doliny.

walcząc z rozpaczą i łaknąc zemsty, gonił po szerokiéj ziemi, aby wydrzéć moją małżonkę z rąk białych oprawców, którzy ją porwali. Ale na Boga moich ojców! Znajdę mordercę mojéj Anieli, przywlokę go za włosy, ugaszę we krwi zbrodniarza tę zemstę, co mię palił Głos mojéj Anieli był tak słodki jak gruchanie gołąbki, jéj kibić tak smukła, jak pień młodéj palmy, a jéj westchnienia miłości, drżą jeszcze w powietrzu na dolinie *Rio Temi!* Jamto ściągnął na siebie gniéw wielkiego ducha, łącząc szlachetną krew Chajmasów z krwią najezdników, dla tegoto oddech zniszczenia powarzył kwiat mojéj miłości!« Gdy tych słów domawiał, jakby z ziemi widmo, ukazał się z pomiędzy drzew Murzyn, i zbliżywszy się do Indyjanina, témi przemówił słowy:

»Cześć i pozdrowienie tobie Palma-Amaru! Troskliwy z ciebie gospodarz, zawsześ czujny, zawsze gotów spotkać się z niebezpieczeństwem, chociaż ono jeszcze dalekie i tylko jak on chytry jaguar z-za krzaków wygląda. Jakże tam, co słychać? Co porabiają Chamajsowie?«

»Czekają niecierpliwie z wrzącą zemstą, kiedy uderzy godzina!« odrzekł ponuro Indyjanin. »W tobie Dawidzie całe moje zaufanie, bo i na twojém czole wypalono piętno niewoli. Powiédz, co słychać w dolinie białych?«

»Same pocieszne rzeczy«, rzekł Murzyn przeciągając twarz do złośliwego uśmiéchu. »Nasz biédny Saby wziął sto rzemiennych razów, że był chory i nie mógł już pracować. Reszta niewolników musiała podczas téj chłosty tańczyć i chórem śpiewać: *»O jakże tu nam wesoło, wesoło, o jakże radośnie!«* A kiedy śpiéw umilkł, już nie żył biédny Saby.—Ale, ale, jeszcze coś dobrego, co mocno cię ubawi: Tkliwa donna Lukrecyja, kazała dziécię naszéj poczciwéj Cery rzucić w studnię. To głupie stworzenie przebudziło krzykiem swoim szlachetną donnę ze snu poobiednego. Nieszczęśliwa Cery rzuciła się w rozpaczy w rzékę *Areo.* Takich pociesznych igraszek, łaskotliwych dowcipów ludzkiego rozumu, mógłbym ci jeszcze wiele naopowiadać.«

»O duchu Virakocha!« z oburzeniem zawołał Palma. »Kiedyż, ach kiedyż wyjdą nasi bohaterowie z milczących swych grobów, po których zuchwale depce stopa najezdnika!.... Toć i my mamy głos ludzki, mamy twarze ludzkie, chociaż ogorzałe od słońca, mamy serca ludzkie, chociaż wykarmieni piersią dzikiéj natury. Duch wielki dał nam życie, abyśmy na kwitnącéj ziemi pili ze zdroju wolności, a nasi bracia biali, ukuli kajdany na wolne ręce nasze!«

»Pocóż płoniesz gniewem Palmo?« przerwał mu Murzyn z jadowitym uśmiéchem. »Przyjdzie wkrótce ta chwila, że i my rozkażem potańczyć białym! A teraz o czém inném: Gdzież jest twoja córka, twoja piękna Gabrusia? Zapewne poszła już na spoczynek?«

»Nie, pasie trzodę na pagórku *Colchar.*«

»Czy tak? samaż, czy ma towarzysza?«

»Ivorokiamo, zły duch, mówi dziś z ciebie. Zapominasz, że mówisz o córce Palma. Cóż ty przezto rozumiész?«

»Co ja przezto rozumiém?« odrzekł Murzyn chwiejąc głową. »Co każdy rozumié, który wié, że młoda dziéwczyna woli miéć towarzysza, niż być samotną.«

»Córka Palma unika młodzieży, strzeże serca swego od zatrucia.«

»Jeźli tak, to zapewne ten, z którym ją rozmawiającą widziałem, był sam duch Virakocha.«

»Jako? Tyś ją widział rozmawiającą z mężczyzną?« zapytał Palma z gniewu zadrżawszy.

»Widziałem, jak duch Virakocha całował jéj piękne usta.«

»Ha, czarne widmo!« wrzasnął Palma, chwyciwszy siłnie za gardło Murzyna. »Niech twój smoczy język wprzód skamienieje, nim będziesz bluźnił w mojéj obecności córkę Palma.«

»Wszak mię znasz Palmo, oko moje bystre, na sto kroków rozpoznam Chajmasa od Hiszpana. Twoja córka....«

»Nie sącz kroplę po kropli palącéj trucizny, dokończ potworze! Moja córka....«

»Twoja córka całowała tego obcego Hiszpana, co to od sześciu miesięcy mieszka w dolinie *Caripe.* Jego imię Edward.«

Na te słowa jakby rażony piorunem, zadrżał Indyjanin, iskrzące oczy miotały błyskawicę, a z piersi ogniem miotającéj wydarło się głuche, przytłumione westchnienie. Po chwili uchwycił Murzyna za rękę i zawołał: »Pódź ze mną, pomóż mi wydrzéć moję córkę z szponów krwawego sępa!«

Zaledwie uszli kilka kroków, spotkali Gabryjelę naprzeciw nich idącą. Na widok córki, wydał Palma głośny krzyk boleści, i zadrżawszy na całém ciele, zakrył twarz rękoma.

»Cóż ci mój ojcze?« zapytała Gabryjela troskliwie, tuląc się do boku ojca.

»Precz odemnie nieszczęsna!« zawołał Palma odtrącając z oburzeniem dziéwczynę od swojego boku. »Ja miałem córkę pobożną, skromną, jak młoda gołąbka na konarach palmy, ale teraz już jéj nie mam! Usta Hiszpana skradły z twoich lic kwiat niewinności, a do twego serca, gdzie gorzał płomień cnoty, wkradła się trucizna złego ducha. Precz odemnie! Klątew grzechu cięży na tobie!«—Gabryjela milczała, strumienie gorących łez spływały po jéj cierpiącéj twarzy, i łkając zakryła ją obiema rękoma.

»Wejdź do chaty«, mówił Palma nieco ochłonąwszy z gniewu; »łzami pokuty zmyj plamę z twoich oczu, ja nie mogę w nie patrzéć, bo one są świadkami fałszu. Od téj chwili nie będziesz pasła trzody.«

»Uspokój się dobra Gabrusiu«, szepnął Murzyn dziewczynie idącéj do chaty. »Miéj we mnie ufność, ja cię pojednam z twoim ojcem, dla ciebie wszystko uczynię, złota gwiazdo mojéj miłości!« — Gabryjela cisnęła mu w odpowiedź wzrok wzgardy.

ALKALDA.

Czarne chmury zawisły nad szczytami *Cotopari*, ulewa biła strumieniami, ogniste wstęgi jak żądła gadziny mykały z czeluści krateru *Cotopari*, nad którym olbrzymi słup dymu parł w niebiosa. Ryk łamiącego się gromu wtórzył zgodnie łoskotowi ogniem ziejącéj góry, straszliwy huk, podobny do wystrzałów z dział, odtętniał baluch aż po wybrzeże południowego morza. Rozdziczała natura przy pochodniach jarego światła odprawiała zaślubiny. Huragan rozszalał się na sawannie *Rio Tigre*, i miótł zaspami stepowego piasku; łomot walących się drzew palmowych rozlegał się po całéj dolinie *Caripe*. Po dniu straszliwym nastąpiła noc okropna. Śród téj zwichrzonéj walki żywiołów dwaj podróżni przemoczeni do nitki, zdążali na koniach drogą wiodącą do *Cumany*. Nadaremnie patrzyli w około, ażali gdzie nie znajdą jakiego schronienia. Ciemność nocy nie dozwalała im przyspieszyć biegu, jechali więc stępą.

»Mój kochany Jago, poczciwa, zacna duszo! Zaklinam cię na imię Najświętszéj Panny«, jęczał jeden z podróżnych, »nie opuszczaj mnie w téj straszliwéj nocy. Jezus! Święta Maryjo! Gdzież jesteśmy? Ziemia chwieje się pod nami! Zbłądziliśmy z drogi do *Cumany*.«

»Bądźcie bez obawy, Don Arcas«, odpowiedział towarzysz. »Widzę już palmy doliny *Caripe*, niedaleko z tąd będą zapewne chaty Chajmasów. Zwolnicie cugle koniowi, bo się spuszczamy w dolinę.«

»Ach! Gniew boży spadł na moją niewinną głowę!« zawodził ciągle Don Arcas. »Piękny był dzień, gdym wyjéżdzał z *Caracas*; a teraz.... Ja nie przeżyję téj nocy! Jago, mój słodki Jago, nieprawdaż, że ja byłem zawsze dobrym panem dla ciebie, nieprawdaż mój złoty Jago?«

»Tak, tak, *Massa*, wyście się zawsze obchodzili łaskawie z biédnym Jago. Kiedy moim braciom po pięćdziesiąt rzemiennych razów wyliczano, mnie wasza dobroć tylko trzydziestką obdarzała. Możnaby was wtedy do rany przyłożyć, kiedy się nasz Catopari rozigra i zaczyna dymić.«

»O złośliwa gadzino! Poczekaj, niechno staniem w *Caracas*«, mruczał cicho Don Arcas. Podczas gdy Don Arcas zawodził drżący z bojaźni, zlazł Jago z konia i przyłożył ucho do ziemi. — Po chwili skacząc z radości, zawołał:

»Don Arcas, bądźcie dobréj myśli, jużeśmy najgorsze przebyli. Słyszę odgłos dzwonów w pobliżkości, jesteśmy niedaleko chat Indyjanów Chamajsów.«

Na te słowa zrobił Don Arcas znak krzyża świętego i zaczął szeptać pacierze.

*

Lampa rzucała blade światło na ponurą izbę Palma. Za każdém natarciem burzy, trzeszczały belki chaty, strumienie nawalnego dészczu biły gwałtownie o jéj cienkie ściany, a wiatr zrywał palmowe liście, którém była okrytą.

Palma przechadzając się niespokojnym krokiem po izbie, zapytał Murzyna, który oparty o wystawę okna, zatopił ogniste spojrzenie w Gabryjeli, ukrytéj w zakącie świetlicy: »Któż jest ten Edward, który wdziera się tajemniczą mocą do losów życia mojego?«

»Pytaj innych o to, którzy są gadatliwsi. Ja tnę cukrową trzcinę, kiedy jest dojrzała, ale nie naruszam honoru człowieka. Cóż mnie to obchodzi, że ten Edward jest wygnańcem, że nosi na karku głowę, ale nie swoją, bo ta już dawno należy pod topor kata; cóż mi na tém zależy, że on jest sromotnym mordercą, i, jużby dawno wisiał, gdyby nie miał tak chyżych nóg, a wysoka *audiencia* nie lazła żółwim krokiem.«

»Wygnaniec? Morderca?« powtórzył w boleści Palma. »Słyszysz to Gabryjelo?«

»Nie wierz kochany ojcze złośliwym słowom tego człowieka«, rzekła Gabryjela w szlachetném oburzeniu. »On potwarza cnotę, bo mu zupełnie obca. Dziękuj Bogu, że cię okrył czarną maską, musiałbyś się rumienić przed twojém kłamstwem.«

»Będzieszże się gniewać na echo, że uchwyciwszy dźwięk głosu, niesie go w dalsze strony? Powtarzam, com słyszał«, odrzekł Murzyn.

»Więc ty go znasz lepiéj?« zapytał ojciec córki. »Stań w jego obronie i dowiédz, że Dawid jest kłamcą, potwarcą. Ale co ja mówię! Czyż może kto spotwarzyć białego? Nie świadczą przeciw nim własne ich czyny?« — Wtém dało się słyszeć głośne zakołatanie do drzwi, i ozwały się zewnątrz głosy.

»O Boże! Jacyś biédni zabłąkani....« zawołała Gabryjela. »Mój ojcze! Spieszmy otworzyć im gościnną chatę!«

»Na głos wzywający pomocy, mam zawsze otwarte ucho.«

Rzekłszy te słowa, wyszedł Palma z izby.

Gdy się Palma oddalił, poskoczył Murzyn do Gabryjeli i namiętnym zaklinał ją głosem:

»Światło moich oczu, zorzo na mojém niebie, nie zachodź przed wzrokiem kochanka! Mamże wiecznie nosić w mém sercu padalca twojéj nienawiści, twojéj wzgardy? Raczéj udérz w te piersi i zagaś krwią ten pożar, któryś zażegła twoich ócz płomieniem. Ostatnim dźwiękiem strun mego życia będzie: Gabryjelo, ja cię kocham!«

»Dawidzie!« rzekła przestraszona dziewczyna. »Co mówisz? Tyś szalony!«

»Dobrześ rzekła, jam szalony! Krew kipi w mojéj piersi.« To mówiąc, uchwycił rękę Gabryjeli. »Nie prawdaż aniele, że wysłuchasz biédnego niewolnika?«

»Precz odemnie poczwaro!« krzyknęła Gabryjela, odtrąciwszy Murzyna z obrzydzeniem.

W téjże chwili wszedł Don Areas z swoim towarzyszem, a za nimi Palma-Amaru w głębokiém milczeniu.

»Jestem alkaldą z Karakas«, przemówił Don Areas z nadętą miną, otrząsając się z dészczu. »Dziękuję wam dobrzy ludzie za waszą gościnność. Co za szkaradna burza! Ja, alkalda z Karakas, muszę nocować w lichéj chacie nędznego Chamajsa!«

»Będziecie wieczerzać?« zapytał Jago butnego alkaldę.

»Ja, alkalda z Karakas, miałbym jeść to, czego się dotknie ręka Chamajsa? Czy masz pomieszanie mózgu?« Obracając się do domowników, rzekł nieco łagodniéj: »Moi dobrzy ludzie, nie róbcie sobie zachodu, proszę was tylko o kilka *nisperos* i wygodny nocleg.«

Śród téj rozmowy bódł Palma okiem dumnego alkaldę, twarz jego przybiérała dziki wyraz a z pod gęstych brwi błysło okropne postanowienie. »Pójdź Gabryjelo«, przemówił do córki. Przynieś kilka *nisperos* dla tak rzadkiego gościa.«

Gabryjela pobiegła co żywo do ogrodu. Właśnie chciała zerwać kilka *nisperów*, gdy oto z za drzewa wyskakuje Edward, wołając z radości: »Gabryjelo! przecież cię widzę.«

»Edwardzie! Co tu robisz? w tak okropnéj nocy narażasz twoje życie na srogą burzę!«

»Ach już przez trzy noce czuwałem tu, aby się spotkać z twojém spojrzeniem! Ale teraz jesteś przy mnie, zapominam com ciérpiał.«

»Mój Edwardzie przemokłeś od dészczu, czyś nie chory?« rzekła tuląc się do jego piersi.

»Aniele! Jedném spojrzeniem léczysz najgłębsze rany. Słodki głos twojéj miłości obudzi mnie ze snu grobowego! A przecież moja Gabryjela, chce mnie opuścić.«

Gabryjela opowiedziała wszystko, co zaszło. »Przez sześć dni«, rzekła w końcu, »z woli ojca nie przestąpiłam progu naszéj chaty. Teraz jacyś podróżni szukali w naszym domu przed burzą schronienia, i temuto przypadkowi winnam, że cię tu oglądam.... Ale zapominam, że na mnie podróżni czekają. Bywaj zdrów Edwardzie.«

»Jeszcze choć chwilę, mam ci bardzo ważną rzecz powiedzieć.«

»Zaczekaj tu na mnie, za chwilę powrócę«, to rzekłszy, odbiegła.

»Długoś bawiła«, przemówił ojciec. »Oto *Sennor* owoce, mój ogród na wasze rozkazy.«

»Dziękuję«, odrzekł Areas. »Jak widzę, nie tak źle się u Chajmasów żyje. Szkoda, wielka szkoda, że te piękne owoce tu rosną. Wiécie, że w Karakas danoby wam po dziesięć piastrów za każde *nisperos.*«

»Ja nie ciągnę lichwy z darów natury.«

»No, proszę, jesteś więc synem natury.... ale czas pójść na spoczynek.«

»Posłanie z palmowych liści już przygotowane«, rzekła Gabryjela.

»Pójdź za mną, mój dobry Jago, téj nocy nie odstąpisz od mego boku.«

»Czy macie jaką obawę?« zapytał Palma głosem zimnym jak żelazo, ale jak żelazo ostrym.

»Żadnéj«, odrzekł Areas, drżąc na całém ciele, »ale moje dostojeństwo wymaga służby na moje zawołanie.«

»Czynicie roztropnie!« to rzekłszy, wyszedł Palma z izby.«— Gabryjela i Murzyn pozostali sam na sam. Oboje milczeli, obawiając się uderzyć o struny, któreby tylko dzikim ozwały się jękiem. Murzyn drażnił myślami zemstę zalegającą pierś jego. Gabryjela pieściła się przedmiotem swojéj ognistéj miłości. Śród téj ciszy powraca Palma z iskrzącém okiem, z dzikim wyrazem twarzy, i woła stłumionym, podobnym do dalekiéj burzy głosem:

»Morderca mojéj żony pod stropem mojéj chaty! Widzę nareszcie w moich ścianach nędznika, którego przez lat dwanaście zemsta moja nadaremno ścigała! Gabryjelo, czy widziałaś gościa naszego? Jestto morderca matki twojéj, krwawy zabójca, co mi wydarł światło oczu moich, co uczynił ciebie siérotą, a mój dom pustką! Teraz wam odsłonię krwawy obraz, którego ciemne duchy zemsty mojéj, od lat wielu strzegą. Pięć wiosen przeżyłem z moją Anielą. Dwoje dziatek kwitnących zdrowiem i urodą, było owocem słodkich związków. Tym owocem byłaś ty Gabryjelo i twój cztéro-letni brat Antoni. Jednego dnia staje w progu mego domu Hiszpan z sześcią Indyjanami i prosi o chwilę wypoczynku po trudach z odbytych łowów. Z wielkiém upodobaniem wpatruje się w moję Anielę, a ciebie Gabryjelo i Antonia okrywa pocałunkami.

Ja, zajęty przyjęciem gościa, biegnę z swobodnym umysłem wraz z tobą Gabryjelo do poblizkiéj rzéki na rybłowienie; zostawiam z moim gościem Anielę i małego Antosia. Godzinę tylko zabawiłem nad rzéką, a w téj jednéj godzinie zniknęła gwiazda z mego nieba—porwano Anielę! Powracam, wszędzie pusto i cicho; wołam, zaklinam, żadnéj odpowiedzi! I mego aniołka, moje pieszczotę, małego Antosia uniosły także krwawe jastrzębie! W dzikiéj boleści porywam ciebie Gabryjelo na moje ramię i pędem wichru biegnę wzdłuż rzeki *Rio-Temi* do lasów palmowych, rozdzierając powietrze mojemi jęki! Już ubiegłem mil piętnaście w towarzystwie zemsty, która przedemną i za mną krwawo goniła, lecz nigdzie ani śladu! Dnia trzeciego staję w *San Fernando*. Tu dowiaduję się, że moję Anielę uwieziono do Kolonii nad górnym Orinoko. Uzbrojony ramieniem zemsty, walczę z nurtami *Rio Nigro* i *Atabapo*, przebywam palące stepy sawanny Orinoka, przedzieram się przez odwieczne, nietknięte słonecznym promieniem lasy! W piętnaście dni staję w *Santa-Maria*, i... padam na grób mojéj Anieli! — Głodem uszła sidłom nikczemnego rozpustnika.— O Antosiu wszelki ślad zaginął! Dwanaście lat szukałem mordercę Anieli, dwanaście lat krwią mego serca karmiłem żmiję zemsty— dziś jéj wesołą ucztę sprawię!«

»Więc to alkalda z Karakas mordercą twojéj żony?« zapytał Murzyn szatańskim uśmiechem.

»Mój ojcze!« zawołała ze łzami Gabryjela, »odpuść zabójcy matki mojéj, uczcij czynem szlachetnym jej świętą pamięć! Zostaw karę na dzień ostateczny!«

»Oddal się Gabryjelo«, rzekł ojciec głosem okropnym. — Gabryjela odeszła drząca z trwogi.

»Teraz czas, czaszkę zabójcy zamienić na puhar godowy«, rzekł Murzyn po cichu. »Piękną jak kwiat była twoja Aniela! On ten kwiat zdeptał sromotnie, on grotem śmierci uderzył w twoją gołąbkę.«

»Ha szatanie, ty umiesz myśl piekielną w mózgu ukrytą, wydobyć na jawę!« dziko zamruczał Palma.

»Niech ginie!« nachyliwszy się do ucha Palmy, szepnął Dawid.

Palma nic nie odpowiedział. Pierś jego robiła gwałtownie, długo toczył okiem straszliwie. Po chwili walki, chwyciwszy ostre żelazo z za pasa, stęknął dziko gromliwym głosem: »Pójdź za mną!«—Murzyn błysnął białemi zęby i w szatańską radość zaświecił okiem!

Jak dwa z piekieł wysłane duchy wśliznęli się milczkiem do przykomórku, gdzie spał alkalda.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Nakładem J. Milikowskiego wyszło właśnie dziełko: *Antoni Malczewski, jego żywot i pisma*, ozdobione popiersiem, wydał August Bielowski, w 12. str. 152. Nową tę (szóstą) edycyję pism Malczewskiego, słusznie do rzędu najładniejszych wydań polskich policzyć możemy. Piękny papier, druk czysty oraz ciekawe popiersie autora w stroju ukraińskim, zdjęte z oryginału w młodym wieku, dodają niemało zewnętrznej ozdoby dziełku temu, którego wewnętrzną wartość stanowią twory najznakomitszego poety polskiego oraz żywot i rozbiór dzieł jego, wybornie przez wydawcę skréślony.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 10. i obejmuje: 1) O uprawie rzepaku 2) O potrzebie i ważności szkół przemysłowych. 3) Korespondencyja w przedmiocie artykułu: Co korzystniéj, czy dawać bydłu długą słomę, czyli sieczkę? 4) Krótki opis sposobu robienia cegły surówki kolczastéj. 5) Wiadomości czasowe.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 6. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Noc jedna lorda Byrona. (Dokończenie). 2) Scena z Don Karlosa, przez Podoleckiego. 3) Pogadanka z Farmazonem, przez A. Gorczyńskiego. 4) O wystąpieniu panny Mejer w Warszawie.

Z Krakowa. Towarzystwo naukowe krakowskie z Uniwersytetem Jagiellońskim połączone, odbyło na doroczną pamiątkę swego założenia dnia 20go lutego posiedzenie publiczne, na którém Kajetan Trojański, rektor Uniwersytetu i prezes Towarzystwa, odczytał sprawozdanie z prac naukowych w r. 1842 dokonanych. Józef Kremer, obojga praw doktor, zakończył toż posiedzenie odczytaniem rozprawy o zasługach i stanowisku naukowém Karola Rittera w jeografii.

W Warszawie wyjdzie dzieło pod tytułem: *Podróż na Wschód*, przekład z francuzkiego Lamartine, przez J. N. Jasińskiego, artystę dramatycznego.— Tamże wyszedł pierwszy poszyt pisemka, pod tyt.: *Zorza, dziennik młodemu wiekowi poświęcony.* — Księgarnia G. Senewalda, odebrała najnowsze dzieło o piwowarstwie, przez A. F. Zimmermanna, pod tytułem: *Dokładny Piwowar, czyli wykrycie wszelkich tajemnic w tym zawodzie, oraz nader ważny wynalazek o warzeniu piwa z kartofli.* — *Pierwiosnek*, Noworocznik, złożony z pism samych dam na rok 1843, wyszedł z druku.— *Wróżka*, komedyjo-opera w dwóch aktach, przez Jana Nep. Dąbrowskiego, oryginalnie napisana, pomnożona nowemi śpiéwkami, wyszła z druku. *(K. W.)*

Z Petersburga. W tutejszéj stolicy wyszło dzieło: *Statystyka Królestwa Polskiego*, za rozkazem najwyższym ułożona przez radcę kolegijalnego M. Zawelejskiego.—Tamże wyszła za rozporządzeniem ministra Skarbu i najwyższem zezwoleniem: *Dokładna mappa przemysłu Rossyi europejskiéj*, z oznaczeniem fabryk, zakładów i miejsc przemysłowych, pod względem rękodzielniczym, jarmarków, zwiazków lądowych i wodnych, portów, przystani, komór, kwarantan i t. d. Na cztérech arkuszach. *(K. W.)*

Teatr w Świdnicy, przedstawił niedawno dramat Szyllera: »Rozbójnicy«, ale bez kobiet. Przemyślny reżyser pan Grutsz, wykreślił rolę Amelii, aby sztuce nowego wdzięku nadać.

Powozy ogrzewalne. Szybkowozy we Francyi są powiększéj części zaopatrzone urządzeniem do ogrzewania. Dwie lampy nalane olejem, umieszczone pod pudłem powozu, w puszce z blachy żelaznéj szczelnie zamkniętéj, rozgrzewają płytę miedzianą włożoną w dno powozu. Ciepło, które się tym sposobem rozwija, jest dostateczne do ogrzania podróżnych.

Rzeczpospolita Andorra. W dolinie pyrenejskiéj między Francyją a Hiszpaniją śród gór niedostępnych; mieszka 10 do 12,000 mieszkańca, którzy już od więcéj jak tysiąca lat pod rządem rzeczypospolitéj żyją. Mimo zawichrzeń ościennych krajów, mimo feudalnego barbarzyństwa, ta mała garstka narodu nie doznała żadnéj zmiany ani w obyczajach, ani też w swojéj mowie. Rzeczpospolita Andorra zamieszkana przez samych pasterzy i rolników, przetrwawszy dziesięć wieków, jest dla nas dobrze zachowanym medalem z dawnych czasów.

Napis w polskim języku w Tyrolu. W zamku Schlossberg wypisane jest w kilku językach, a między temi i w polskim, następujące zdarzenie:

»Oswald Milser, właściciel tego zamku porwał opata Fryderyka z Wilbau podczas nocnéj pory i uwięził go w zamku Klamm. Za ten czyn wyklęty został przez legata papiezkiego Jana z Gabrespino. Gdy mimo to żądał przystąpić do komunii, a proboszcz mimo wyklęcia, hostyją mu podawał, zapadła się ziemia pod rycerzem, którego zaledwo żywego z przepaści wydobyto. Nawrócony tym cudem, rycerz habit mnichowski przywdział, a żona jego z rozpaczy samobójstwem życia dokonała. Dotąd pokazują w kapliczce ślady cztérech palców Oswalda, wyciśnięte w ołtarzu, gdy lecąc w przepaść uchwycił się ołtarza.« *(Przeg. Nauk.)*

Polowanie na tygrysa. Pewien Anglik opisuje polowanie na tygrysa w Indyjach wschodnich. Towarzystwo myśliwych wyruszyło na polowanie, wziąwszy z sobą dwanaście słoniów, dźwigających na grzbiecie po kilku strzelców, bandę muzyczną i nie mały zasób palnych rakiet. Jak u nas ogniem wykurzają lisa z jamy, tak w tym kraju płoszą tygrysa z niedostępnéj gęstwiny. Całe grono myśliwskie stanęło nareszcie na tém miejscu, zkąd polowanie rozpocząć miano. Nim jeszcze rozpoczęto łowy, jeden z czeladzi zginął okropną śmiercią. Słoń rozzłoszczony, że go przewodnik po drodze kijem okładał, zdeptał go na miazgę. Zaledwie towarzystwo ochłonęło z przestrachu, w téjże chwili wypadł tygrys z gęstwiny, i pognał dziko przed zatrwożoną drużyną myśliwską. Padło kilkanaście strzałów, kilka z nich ugodziło w tygrysa, który pomimo tego sadził przez gęste zarośle. Tłumem pognano za nim i zapędzono w pobliże wsi, gdzie go kmiecie gęstemi wystrzałami sparli, tak, że go wzięto między dwa ognie. Nareszcie zewsząd oskoczony, padł o ziemię. Myśliwi oskoczyli w koło swoję zdobycz. Jeden z grona trącił bronią w nieżywego na pozór tygrysa. Rozjadłe i na pół ogłuszone źwiérzę, porwało się z ziemi, i rozbiło rzutem swojego cielska koło myśliwskie; to wylękniono przestrachem stało jak wryte. Po długiej bezprzytomnéj chwili porwano za oszczepy, kilkunastu strzelców schroniło się pod brzuch słonia; myśliwskie bowiem doświadczenie uczy, że tygrys nie waży się nigdy zbliżyć do tego zwierzęcia. Z tej zasadzki padło znowu kilka strzałów, tygrys wściekły z iskrzącém ślepiem rzuca się na słonia, na którym umieszczono bandę muzyczną, zatapia kły w nodze dyrektora muzyki, i z kawałem ciała uchodzi w nieprzebytą, skwarem słońca ogorzałą gęstwinę. Nadaremnie użyto wszelkich środków, aby go z tamtąd wyparować. Nareszcie puszczono słonia palnemi objuczonego rakietami, te zapaliwszy, wrzucono w niedostępne, suche krzewisko, które niebawem stanęło w płomieniach. Słoń przestraszon ogniem, nie ruszył się z miejsca. Z gorącej gęstwiny umykały źwiérzęta różnego rodzaju, różno-barwne gady tocząc się kłębem, uchodziły z płomieni. Pisk zwierząt mieszał się z rykiem słonia, na którego grzbiecie zajęło się siodło, składające się z kilku materaców. Od ognia rozpaliły się żelazne pasy, któremi te materace przymocowane były. Biedne źwiérzę w wsciekłym bolu, miotało sobą na wszystkie strony, nareszcie z straszliwym rykiem rzuciło się w poblizką rzekę i zatonęło. Tygrysa już wyśledzić nie zdołano.

Sądy w Irlandyi. Kilka dzierżawców margrabiego Westmeath, skazano za kradzież kilku cegieł torfu, na trzech-letnie więzienie. Po odbytéj karze, znów osadzono ich w kozie. Sędziowie wydając wyrok, zapomnieli o téj ważnej okoliczności, że zbrodniarze torf spalili!

Drzewo mahoń, zadziwia olbrzymim pniem i olbrzymiemi konarami, ocieniającémi wielkie przestrzenie, a raduje oko jasno-zielonem liściem. Dwa wieki potrzeba, aby drzewo to doszło swojego zupełnego wzrostu, chociaż się bardzo prędko rozwija.

Podróżny przybyły z wyspy Kuby do Londynu, przywiózł z sobą ogromnego, ułaskawionego szczura. Źwiérzę to jest półtrzecia stopy długie, 10 cali wysokie, ma 17 cali obwodu. Natura przewrótnie zdziałała, bo ten szczur koty zagryza.

Przygody francuzkiej amazonki. Julijanna Dawy, która niedawno w 70tym roku życia umarła, nosiła suknie męzkie przez większą połowę życia swego. Dziennik *Brenton* z Nantes, podaje o niej następujące szczegóły: »W rewolucyi francuzkiéj w r. 1791, przyłączyła się z wielkim zapałem do stronnictwa rojalistów w Wandei. Gdy wpadła w ręce republikanów, skazano ją na karę deportacyi, która się wtedy równała wyrokowi śmierci. Ale gdy się dowiedziano, że jest kobietą, nastąpiło ułaskawienie. Julijanna Dawy przywdziała znowu suknie kobiéce. W kilka lat potém przyjęła służbę majtka na francuzkim okręcie kupieckim. Okręt ten dostał się w niewolę angielską, a nasza amazonka przepędziła ośm lat w pływających więzieniach w Portsmouth. Przypadek chciał, że w niej znowu poznano kobiétę. Julijanna Dawy powróciła do Francyi. Przybywszy do rodzinnego miasta Nantes, zamaskowała się znowu i wraz z wyrobnikami pracowała. Odkryta, osiadła nareszcie w klasztorze jako służebna, przepędziła tamże lat piętnaście. Przy schyłku wieku ocknęła się w niéj na nowo chętka bawienia się w mężczyznę, wzięła się do roboty wyrobnika i nosiła na przemian męzki, na przemian białogłowskie odzienie.«

Rozmowa Anglików z Chińczykami. Po zdobyciu wyspy Tschusan przez Anglików, utworzyła się między tymi a Chińczykami całkiem nowa, onomatopeiczna mowa, za pomocą któréj bardzo dobrze rozumieć się mogli, a to naprzykład. Chińczycy mieli różnego gatunku ptactwa do zbycia — zachciał który z Anglików kury, to zawołał: »Gak, gak!« I od tego czasu zwano kurę—gak, gak; podobnież tym sposobem dla Mademoiselle kaczki trafne i zgodne wynaleziono nazwę. »Kwak, kwak!« Pannę gęś zaszczycono nazwiskiem: »Gęg, gęg!« Najwyraźniej zaś przedstawiano bydło; ile razy angielscy żołniérze krowy lub wołu potrzebowali, wyciągnąwszy obydwie ręki ponad głowę nakształt rogów, ryczeli: »Buh! Buh!« Konwersacyja, który na ten sposób między Anglikami i Chińczykami prowadzoną była, miała się zupełnie upowszechnić.—Kapitan Anstruther od Chińczyków w niewolę wzięty, umiejąc rysować, odportretował niektórych Mandarynów, którzy z tego mocno uradowani, nieraz przy zdarzonej sposobności ulubionémi kraju tego potrawami go raczyli. Jednego dnia przyniósł mu był dozorca na półmisku dziczyznę, która tak właściwy *haut goût* miała, że Anstruther palcem na półmisek wskazując, dozorcę zapytał: »Kwak, kwak«, (czy to żabie lub kacze uda), Chińczyk wstrząsnąwszy uroczyście głową, odrzekł: »Hau—hau!« (Psie mięso).

Pewien pokątny pismak, który pragnął swoje imię w świecie rozgłosić, rzucał się w dziennikach na sławę zasłużonych literatów. A gdy ci nie uznali go godnym odpowiedzi, prosił ich nareszcie, aby go przynajmniéj publicznie policzkiem udarowali, byle tylko o nim głośno mówiono.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Kraltera.
Drukiem Piotra Pillera.